№ 10.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1844. Poznań, dnia 8. Maja.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Do E. J. *)

Wyzywasz mnie, Edwardzie! na nierówne bronie.
Tobie świeżość przyrody i wiejskie ustronie,
I troje lubych dziatek i spokój domowy
Niedziw że roje natchnień z syłają do głowy.
A chociaż się rozkwilisz żalami i płaczem
Dawnychto cierpień odgłos, kiedyś był tułaczem.
Szczęśliwy, kto wśród cichéj zamieszkawszy wioski
Gdzieś daleko za sobą zostawił swe troski,
A gdy obraz przeszłości czucia mu rozdrażni
Umie je w śpiewie wylać na łono przyjaźni.
Lub trwożąc się tą marą co sam wysnuł z siebie
Jeszcze sny ziemskie miewa choć już osiadł w niebie.
Jak słowik kiedy jego piersi przebolałéj
Zaciężą więzy ciała i słońca upały,
Chciałby się pieśnią rozlać po świetle księżyca,
I mocne duchy swemi żalami zachwyca.
A nim pierwszy brzask jutrzni ozłoci mu głowę
Już ją spokojnie złożył pod skrzydełka płowe.
Tobie przewrotność ludzka, kał miasta i skazy,
Z daleka tylko widne jak martwe obrazy.
Obłuda w jaką człowiek przyodziać się może,
Znieważając nikczemnie podobieństwo boże;
Te łaszenia, pochlebstwa i czołgania liche,
Dla których niewolnicy w taką rosną pychę;
Ten szacunek występku, prawości zniewaga,
Jaka z dnia na dzień ciągle mnoży się i wzmaga;
Ta chciwość i przedajność, co za kruszec złoty
Oddają honor męża i niewieście cnoty;
Te zaszczyty z rąk wrogów, towarzystw spodlenia,
Wydają ci się z dala, jakby przywidzenia,
Jak wymysły fantazij, jakby cienia prawie,
Które widzimy we śnie, przeczymy na jawie:
Ale kto to zepsucie własném okiem widzi,
I za współziomków swoich gryzie się i wstydzi,
I w tych zarodach dalsze upatruje klęski
Bo w spódnice przechodzi naród niegdyś męski,
A ojców obyczaje i przodków zalety
Splamione, zohydzone, wygnane, niestety!
Tyrają się po kątach jako stare graty,
Aby nie śmiały w pańskie powracać komnaty;
Kto z tych znaków upadku smutną przyszłość wróży,
Jakąż za śpiewy twoje pieśnią się odsłuży?
Mimo chęci najlepsze, życzenia najszczersze
Zkądże weźmie natchnienie? Jakie złoży wiersze?
Każde słowo z ust jego będzie jak grób nowy,
Co ci smutków pomnoży i zcięży okowy.
Dawno ja w te mogiły pogrzebłem na zawsze
Nadzieję w przyszłość lepszą i w losy łaskawsze.
Do cięższych trudów jeszcze dzieci nasze rosną,
Grubsze dla nich kajdany kują z każdą wiosną;
Uciążliwsze na karki powalą im brzemie
Ażeby klęli ojców i marli nikczemnie.
Odwróć od tych widoków twą niewinną duszę!
Czemuż przychylność twoją tak odpłacać muszę?
Niebezpiecznéj się pracy podjąłeś niechcący,
Rozbudzasz w piersi swojéj głos dawno krzepnący,
Podbudzasz mnie do pieśni! Drażnisz lwicę we śnie!
Wieszże jaki dźwięk wydam, kiedy się rozpieśnię?
Zgięta goryczą świata dawno moja warga
Jest jak lutnia co wicher zerwie i potarga:
Dwie tylko jeszcze w sobie całe struny mieści.
Jedną strunę rozpaczy a drugą boleści.
Tyś szczęśliwszy! bo możesz twe jasne jagody,
Od brudów ludzkich zwrócić w oblicze przyrody.
A pod strzechą co mieszczuk pomija z daleka
Znaleźć szczątki cnót dawnych i godności człeka.
Nie trzeba sercu twemu chwalić tych zarodów,
W nich jest przyszła pomyślność i sława narodów.
Umiesz ty te nasiona na ojczystéj niwie
Okiem znawcy wyszukać i chować troskliwie.
Niespokój jaki teraz pierś twoją kłopoce,
Wyda obfite kwiaty, pożywne owoce.

*) Odpowiedź na list jego pisany wierszem.

A z każdym dniem skończonym ujrzysz przyjacielu
Zabiegi nie bez skutków, życie nie bez celu.
Jakże chciałbym naocznym świadkiem być w Janczynie
Jak ci wśród takich zajęć z użytkiem czas płynie.
A przytém pokrzepiony twych myśli udziałem
Widzieć cię zawsze takim, jak cię raz poznałem.
Zresztą jestem ciekawy (przyznam się otwarcie)
Kto ta pani, o której wspomniałeś w swéj karcie?
Nie grzeszna to ciekawość; bo wiedzieć wypada,
(Kiedy z chmur parafiańskich grom po gromie pada
I burze się gromadzą i grożą zawody,)
Z któréj też strony promień połyska pogody?
Mówisz, że chce mnie poznać. Niechże wiem nareście
Czém sobie zasłużyłem na względy niewieście?
Niech usłyszę z ust twoich choćby jedno znamie,
Czy to anioł, czy szatan ma apetyt na mnie?
Bardzo jestem niestrawny, więc mógłbym jéjmości
Nabawić całorocznéj może niestrawności.
A ty coś chlubnie wstąpił w zawód Eskulapa
I wiesz jak drugi Kargier czém pachnie jalapa,
Zamiast gonić zające albo śpiewać treny
Musiałbyś spazmy ścigać, wytępiać migreny,
I za chorób szeregiem, których nikt nie zliczy,
Puszczałbyś twego Leroi jak charta ze smyczy.
Lecz dajmy pokój temu; bo choć walczysz mężnie,
Pewno dawno już ziewasz długo i potężnie,
A śmiało się założę, że apteczna pułka,
Na nudne listy niema skutecznego ziółka.
Więc jeślim cię wynudził mimo mojéj chęci
Przebacz jako marudzie i miéj go w pamięci.

AUTOR PARAFIAŃSZCZYZNY.

Stanisław Strawiński,

KONFEDERAT BARSKI.

(Ciąg dalszy.)

3.

Bramą wiodącą na dziedziniec zamku królewskiego w Warszawie, wjeżdżają karetami, kolasami i konno, dygnitarze, senatorowie i ludzie wojskowego stanu, uboższa zaś szlachta schodzi się piechotą. Każdemu, kto tylko herbowy, wstęp wolny, a zrzuciwszy opończę w przedpokoju u lokai królewskich, wchodzi bez meldowania. W komnatach przy drzwiach stoi po dwóch żołnierzy z gwardyi przybocznéj, a przy gabinecie Stanisława Augusta dwóch służących w barwie królewskiéj. Ci bez wyraźnego zezwolenia swego pana nikogo nie wpuszczają.

Siedzi tam teraz król sam jeden przy stoliku alabastrem wyłożonym, na którym porozrzucane pędzle, pędzelki, rozmaite farby, ołówki, kredy, pióra, wszystko zmięszane. On pochylony nad papierem z wyzłacanemi brzegami, kończył malować girlandę z drobnych różyczek, która okolała ten papier. Ukończywszy swoją pracę, przez chwilę z zadowoleniem na nię spoglądał, a potém z troskliwością odłożył na bok i z uwagą odczytywał leżącą przed nim kartkę. Była to kopia listu do carowéj Katarzyny, pełna miłosnych oświadczeń i wdzięczności, jako dla téj, z której łaski wolno mu było wdziewać na skronie koronę. Przekreślał wiele słów, a nawet i całe punkta, które mu się zdawały nie dość sentymentalne, wpisując inne, a dla natchnienia otworzył raz po raz ogromny format Nowéj Heloïzy, i odczytał który z listów Saint-Preux. Nakoniec utkwił oczy w dwóch portretach wiszących na ścianie: jeden z nich przedstawiał Katarzynę jako Bellonę, a drugi jako Minerwę. Długo się w nie wpatrywał, i znów dorzucił w list kilka słów, które były zwrotem do tych obrazów. I wziął papier, który tak misternie otoczył różyczkami, a pięknie gdyby sztych przepisał owę kopią. Ukończywszy swoją pracę, któréj już trzeci dzień poświęcał, zadzwonił — i wszedł kamerdyner Ryx, ulubieniec jego.

Ten wśród opowiadań rozmaitych szczegółów o pięknych paniach warszawskich, wypudrował królowi włosy, ułożył starannie w loki, harcop uplótł, i dopomógł do całego ubrania. Stanisław August to ciekawie wypytywał Ryxa, to z uśmiechem zadowolenia przyglądał się w zwierciedle swoim wdziękom. Potém ułożył całą postawę, niby król w trajedyi Woltera, i wychodził z majestatycznością, aby się iśdź modlić do kaplicy.

Za wstąpieniem jego na pokoje, marszałkowie odbierali laski ze złotemi gałkami od lokai, stojących przy drzwiach gabinetu, i szli przed nim. On się kłaniał zgromadzonym na wszystkie strony, i ci ukłonem odpowiadali. Mało kto z przytomnych szedł na mszą, owszém pokoje napełniały się coraz bardziéj przybywającymi.

Na kilka minut przed powrotem Stanisława Augusta z kaplicy, przyszli Strawiński, Łukaski i Cybulski. Nie znano prawie konfederatów, więc się niezdziwiono ich śmiałości, a było rzeczą zwyczajną, że się tam schodzono dla zobaczenia jeden drugiego. Kilku tylko z przytomnych poznawało Łukaskiego, ale nie mieli nawet czasu zrobienia nad tém uwagi, kiedy wszedł król. Strawiński zbliżył się natychmiast do niego, i bez powiedzenia słowa, bez skinienia głową, oddał mu złożone pismo. Stanisław August spojrzał mu w twarz i zadrzał — tyle tam było szyderstwa i wzgardy; lecz właśnie dla tego, jak wszyscy, co chcą swoje tło zakryć pochlebną grzecznością, z przymilającym uśmiechem i ukłonem odbierał podawany papier, sądząc, iż to petycya, które

mu najczęściéj w téj godzinie wręczano. Strawiński i świadkowie zaraz wychodzili, a król oddał niezapieczętowane pismo służbę czyniącemu szambelanowi. Ten, czy mu sposób oddawania był podejrzany, czyli z próżnéj ciekawości, dość, że mniemaną petycyą zaczął odczytywać. Ledwie otworzył, krzyknął zdziwiony i przestraszony: „To akt detronizacyi!“ Wszyscy się skupili, papier zaczął z rąk do rąk przechodzić, na wielu twarzach wybił się przestrach, zdziwienie — ale niemało było i takich, co uśmiechem i spojrzeniem widoczną radość objawiali.

Stanisław August poczerwieniał, brwi nasunął na oczy, i wyrzekł gniewnie: „Panować będę choćby na takim kawałku ziemi, jak ten kapelusz wynosi!“ — wskazawszy na kapelusz jednego z przytomnych. Ale ledwie te słowa wymówił, zmięszał się, jak ten, który mimowolnie wygada tajemnicę — załamał białe ręce i rzekł z westchnieniem: „Niewdzięczni! kiedy wszystko poświęcam dla ich dobra, tak mi za to odpłacają — lecz potomność odda mi sprawiedliwość......“ I zaczął się chwiać, ręką serce przyciskać i zawołał słabym głosem: „spazmy.“ Kilku pochlebnisiów przybiegło w pomoc, on się pochylił w ich objęcia, głowę i cały wyraz twarzy tak ułożył, żeby przytomnych rozczulić, i w téj postawie był pół niesiony, pół prowadzony do gabinetu. A przytomni — jedni ze wstydem, drudzy z szyderstwem, a inni nakoniec ze wzgardą za nim spoglądali, kilku tylko najpodlejszych z kłamaném spółczuciem.

Tymczasem konfederaci spokojnie się z zamku oddalili; nikt ich nieśmiał ścigać, bo wyrzeczenie samego siebie dla sprawy ogólnéj, osłonięte jakąś świętością, budzi poszanowanie w najnikczemniejszych nawet ludziach w narodzie. W kilka godzin dopiero, na wezwanie króla, moskiewskie wojsko zaczęło się krzątać z ich poszukiwaniem, ale nadaremnie.

4.

Dzień był smutny, posępny, choć cichości żaden szelest nie przerwał, wiatr gałązką nie zachwiał; lecz niebo okryło się temi na pół przezroczystemi chmurami, co się nie wyleją ani deszczem, ani zagrzmią burzą, ale zimno i ponuro zawisły nad ziemią z wdzięków odartą, niby duchy samolubów nad gasnącymi braćmi w nędzy i niedoli. Nad brzegami Wilii, nie strojnéj w narcyzy i tulipany, lecz zasłanéj kobiercem zwiędłéj trawy, i sterczących gdzie niegdzie wśród nich nagich krzewów, niby połamanych krzyży smętarza, ciągnie się kilka kurnych chatek. Wśród nich tu i owdzie stoi odwieczna lipa, na pół okryta zżółkłemi liściami, które strząsa z siebie bez zadęcia najmniejszego wiatru, jakby zrywane niewidzialną ręką i wrzuca w tuż płynącą rzekę.

Strawiński stoi oparty o drzewo, ręce na piersiach splecione, oczy spuszczone ku wodzie zdają się smutnie śledzić każdy odpływający listek, jakby w nim tracił znajomego. Jego twarz oblała się goryczą, a w oczach wybijających takim hartem duszy mięszała się smętność. Długo stał w miejscu nieporuszony, naraz westchnął z głębi serca, rzucił przeciągłe spojrzenie na okolicę, zdawało się, iż ją na zawsze chciał w swéj duszy odlać, i wszedł do pierwszéj chatki. Po małéj chwili wyszedł z niéj pobladły boleścią, a mieszkańcy domku wybiegli za nim — mężczyzni żegnali go z rozpaczą, a niewiasty głośno szlochały. Strawiński wchodził kolejno do wszystkich chatek, a przed każdą równa scena żalu się powtarzała. Nareszcie wstąpił na mały dziedziniec, i spoglądał na wszystkie strony; to na stodoły i obory zbudowane w klamrę, to na drewniany dworek i tulący się do niego sadek, to na wirydarzyk ciągnący się pod oknami, gdzie jesienne kwiatki smutnie główki pozwieszały, jakby były duszy młodzieńca odbiciem. A ze dworu wybiegł stary kundel, i ten się smutnie łasił u nóg pana, i znów wspinał ku twarzy, znać chciał tém troskę od niego odegnać. Strawiński to gładził go ręką, to z czułością przyciskał kudłatą głowę do piersi, niby przyjaciela. Potém obchodził po wszystkich zakątkach sadka i podwórza, przy niejedném drzewie, przy niejednéj ścieszce dłużéj się zatrzymał, i rzewniéj jeszcze niż dotąd zdawał się zamarzyć. Po kilku godzinach téj smutnéj rozmowy samego z sobą, turkot zajeżdżającego przededwór wózka przywołał Strawińskiego, z którego zsiadł, jak snadno poznać z ubioru, szlachcic. Obadwaj weszli do pierwszéj izby, a przybyły odwięzując trzos, i wysypując złoto z niego na stół, prawił dużo: to ubolewając, iż Strawiński porzuca ten kawał ojcowizny, to się ciesząc, że z tak zacnym obywatelem ma do czynienia. Ten nie wyrzekł i słowa, pieniądze przeliczył, wsypał w skórzany worek, zawieszony na piersiach, rzucił długie, żałosne spojrzenie po izbie, i spiesznie wyszedł na dziedziniec, gdzie u słupa stał koń osiodłany. Nim go dosiadł, raz jeszcze spojrzał na drewniany dworek, i łza gorąca potoczyła się po jego licach. Tu z tego domku ponieśli do grobu jego rodziców, tu stała jego kołyska i w dzieciństwie ta wioska była mu światem, i każdy zakątek jest niby pismem dziejów jego życia — a odtąd to miejsce święte dla niego zamieszka obcy człowiek. Wsiadł na konia i ten się zda-

wał żałośnie parskać, jak gdyby uczuł boleść duszy pana. Teraz spiesznie przejechał wioskę, wszyscy mieszkańcy stali na progach chatek, on już nie miał serca ku nim spojrzyć, tylko ich żegnał skinieniem ręki. Nie długo wioska za górkę się schowała, zwrócił głowę, ale już nie ujrzał miejsca rodzinnego. Westchnął — i z tém westchnieniem musiał ulecieć ostatek żalu, bo radośnie uderzył dłonią woreczek ze złotem, a kiedy to zabrzęczało, pomyślał: Wszak i ono będzie pomocą w obronie wolności, a cała Polska jest naszą ziemią, czy w Litwie, czy w Koronie, wszędzie będę w domu, a oddając życie dla dobra Rzeczypospolitéj, niemiałbym złożyć mienia. Uśmiechnął się, bo czuł jakieś anielskie zadowolenie z téj nowéj ofiary, którą niósł sprawie ogólnej, a cała przyszłość oblała mu się w myśli złotym promieniem, i zaświeciła bliską szczęśliwością narodu.

5.

Na Jasnéj Górze Częstochowskiéj, dzwony kościoła zmięszane z hukiem armat zwołują na nabożeństwo. Jedni konfederaci odganiają od murów wojsko moskiewskie, a drudzy modlą się przed obrazem Najświętszej Panny, ukoronowanéj królowy polskiéj.

Puławski rozporządziwszy wszystko, wszedł do kościoła, kiedy mu warta melduje, że pod murami jest podróżny i chce z nim mówić. Rozkazał go wpuścić i przyprowadzić przed siebie. Ale ledwie go ujrzał, wyciągnął ku niemu rękę, bo poznał Strawińskiego. Pogadali kilka słów cichym głosem, a potém przybyły ukląkł, i widać, że myśl i serce splótł w modlitwę gorącą; — lecz też to była chwila uroczysta. Wśród modlitw kapłana i przytomnych, wśród dźwięku organów i śpiewów pobożnych, grzmiały działa śmierć roznoszące — może wyszedłszy z kościoła w niejednym bracie powitają trupa, a kto wie, czy już sami na zachodzące słońce spoglądać będą.

Po nabożeństwie Strawiński sam jeden pozostał w kościele gdyż wszyscy żołnierze, a nawet i zakonnicy, każdy wracał na swoje stanowisko do obrony murów. On ukląkł znów przed ołtarzem i modlił się, znać jednak, iż o nic nie prosił dla siebie, bo jego twarz nie miękła, nie rozrzewniała się modlitwą, lecz się rozpromieniła odwagą i poświęceniem. Epopeją owego czasu była konfederacya Barska; nie piórem ani pieśnią, ale szablą i modlitwą walczący wylewali swą poezyę. I w téj chwili modlitwa Strawińskiego była pieśnią jego serca, i tak go cisnęła w duszy, jak zbytek uczuć każdego wieszcza, które musi na świat wylewać słowem albo czynem.

Z tego uniesienia wyrwało go stąpanie rozlegające się po kościele — podniósł się, a przed nim stanął Kazimierz Puławski potężny sercem i poświęceniem, przez chwilę w milczeniu spoglądali na siebie, bo Strawiński wracał uczuciem od nieba do ziemi, a ten drugi z miejsca boju, zamyślony ale obojętny, jak każdy co przywykł do niebezpieczeństw. Puławski pierwszy przerwał milczenie. „Tysiąc takich jak ty Stanisławie, a jesteśmy niezwyciężonémi. A jeżeli polegniem, a znami i sprawa której dziś broniemy, to następne pokolenia myśl naszą podejmą, będą nią rozgrzewać wzrastające serca, aż w pośród nich powstaną nowi mściciele.“ I znowu milczenie, tylko głosy walczących w oddali rozlegały się po murach kościoła, i szyby hukiem wstrząśnięte dzwoniły ciągłą muzyką. Lecz Puławski wnet sobie przypomniał, że winien wracać na mury, że żadna chwila już do niego nie należy, gdyż się poślubił sprawie ogółu. Strząsnął więc uniesienie ze swéj duszy, któremu mimowolnie ulegał wpatrując się w Strawińskiego, i przystąpił wprost do interesu.

— Powiedz mi Stanisławie, jakżeś ułożył uwiezienie króla?

— Jabym myślał, że od razu w łeb mu najlepiéj wypalić, odparł ten z przyciskiem.

Puławski chwilkę pomyślał, a potém odrzekł: „W obecnych okolicznościach śmierć Poniatowskiego byłaby bezużyteczną, a nawet szkodliwą; konfederacya nie jest jeszcze dość potężną, żeby się oprzec sąsiednim państwom, któreby to wzięły za pozór do zbrojnego wtargnięcia. Lepiéj go mieć żywego.“

Potém się naradzali, jak króla uwieść do Częstochowy, jak Puławski obrotami wojennémi ma Moskali od Warszawy odciągnąć, i zostawić do Częstochowy wolną drogę.

— Nic ci nie przepisuję, mówił Puławski kończąc te narady — lecz jeżeli wykonasz zamysły powtarzam ci raz jeszcze, oszczędzaj życia Poniatowskiego.

— Gdyby mi tak koniecznie szło o jego zabicie, miałem do tego sposobność po wiele razy, ale kiedy uważasz potrzebniejszém jego życie — niech więc żyje, boś ty głową, a ja ręką w téj sprawie.

Działa co raz silniéj grzmiące przywoływały Puławskiego na mury. Wyciągnął więc ku Strawińskiemu rękę, lecz ten jéj nie ujął, ale ukląkł i ślubował wypełnić wszystko jak Puławski polecił. Ten stojąc obok niego słuchał téj przysięgi, a po jéj wykonaniu uścisnęli się serdecznym pocałunkiem. Słońce jesienne jasnym promieniem oblewało ich młodzień-

cze skronie, a w całéj postawie tyle natchnienia i poświęcenia, że byli niby dwaj aniołowie pańscy ustawieni ku ozdobie świętemu miejscu.

6.

W okolicy Zakroczymia, w pobliżu Małéjwsi, wśród zagajenia, tlą się tu i owdzie rozłożone ognie. Z ziębli i oszroniali żołnierze po przepędzeniu nocy październikowéj bez dachu, ogrzewają się jak mogą, gwarząc wesoło, a pachołcy obozowi uwijają się; to gotują w kociołkach krupnik, lub zbierają w kupę porozrzucane w około, siodła, strzelby i szable, to kulbaczą konie dla siebie i konfederatów. Szaro jeszcze było, ale już gwiazdy bladły, bo niebo od wschodu żywo się zarumieniło na zbliżenie słońca, niby kochanka posłyszawszy kroki lubego. Wśród konfederackiego obozu przesuwa się Cybulski otulony delią w czworograniastéj czapce, głęboko wsuniętéj na oczy, znać niechciał być od wszystkich poznany. Uprowadza on po jednemu, lub dwóch na ubocze, a pogadawszy z nimi słów kilka tajemnie, nie postrzeżony idzie znów w inną stronę, żeby to samo powtórzyć. Widać, że naprzód miał w myśli wybranych, bo pominął wielu nim znalazł tych, których szukał. Kiedy już na dobre dnieć poczęło, Cybulski dążył w towarzystwie dwóch konfederatów ku Małéjwsi. Weszli do chatki z okienkiem o dwóch szybkach, i to jeszcze było zasłonione rozwieszoną opończą. Oświecał ją tylko jasny ogień palący się na kominie, przy którym siedzieli Strawiński z Łukaskim. Obadwaj podnieśli się z miejsca, a ten pierwszy bystro spojrzał na przybyłych; a potém głosem uroczystym, objawił im cel, od którego teraz zawisło ocalenie ojczyzny, to jest: uwiezienie króla do Częstochowy, wzywając ich do spólnego działania. Konfederaci bez wahania przyjęli projekt, a Łukaski wyjął z za czamary ukrzyżowanego Chrystusa, podał dwom obcym, ci uklękli złożywszy na nim palce na krzyż. Strawiński czytał im przysięgę, którą za nim powtarzali, przyrzekając dochować powierzonéj im tajemnicy, nie szczędząc zdrowia ani życia do spełnienia zamiaru. Po wykonanéj przysiędze natychmiast się oddalili z Cybulskim, który nie długo powrócił w towarzystwie dwóch innych, a tym znów jak pierwszym wyłożono cel, i odebrano od nich przysięgę. Trzydziestu związkowych przyjęto w ten sposób.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Powinność i poświęcenie.

(Dokończenie.)

Jeżeli autor rozprawki o Miłości własnéj i poświęceniu, w Tygodniku nazywa (Ner 6. str 45.) ludzi, w których miłość ogółu przeważa, szaleńcami, utopistami, toć już rzeczywiście niewiemy, co może być u niego cnotą. Boć owo sumienie, owa jednia egoizmu i miłości ogółu, czyli miłość ogółu zmodyfikowana miłością siebie, jest zupełnie czczém słowem. Miłość ogółu jako utopizm i szaleństwo, musi być naturalnie według autora sprzeczną z tym jego sumieniem, a zatém to sumienie jest oparte na samowoli subjektywnéj. Jeżeli samowola subjektywna będzie normą postępowania, wtenczas zaprawdę, każde postępowanie będziem musieli za dobre uznać, bo właściwie niema przyczyny, ażeby człowiek najnikczemniejszy, w czynie szkodliwym społeczeństwu nieopierał się na subjektywności, i samowolném sumieniu. Zresztą, jak autor gadaninę swoją o sumieniu, stawianie go wyżéj nad spełnienie powinności względem ogółu, wyżéj nad miłość ku temuż, wziął z Ackermana francuzkiéj broszurki, jak stanowisko subjektywne wziął żywcem z Jakobiego, tak niepotrzebnie téż ciągle odżywia zdanie Heinego o ograniczeniu pełnienia powinności przez prawa indywiduów. Wszystkie stanowiska z których skompilowana rozprawka, obszernie i zupełnie były zbitemi, a są tak słabe, że w sobie same, najlepszę normę swéj nieprawdy noszą. Lecz nieścisłość i ciągła z sobą niekonsekwencya zdają się być, głównym żywiołem rozprawki naszego autora. Bo samowolę subjektywną, którą jest jego sumienie, biorąc za normę postępowania, powinien był egoizm uznać za cnotę, boć ten owéj to normy życia jest wypływem; lecz snać przeląkł się téj konsekwencii autor, dowodzi więc, że miłości własnéj używać trzeba, że skoro jest wrodzoną (czego niedowiódł, lecz co dowolnie przypuścił, a najfałszywiéj) więc wytępiać ją próżno. Choć tu błąd popełnił mniejsza o to, lecz (Ner 5. str 44.) posunął się do powiedzenia, że egoizm jest źródłem wszelkiéj cnoty, że człowiek, dopiero wtenczas pokocha drugich, gdy siebie kocha i dla tego szczęścia drugich żąda, że go sobie życzy. Ten wniosek jest bez wątpienia konsekwentnym z wyrzeczoném przez autora potępieniem miłości ogółu, tego według niego szaleństwa i utopizmu, lecz niejestże w tym wniosku wyrzeczone, że każdy człowiek jest podłym? że niema cnoty w świecie? boć czyn spełniony, dlatego aby mi się dobrze działo nie jest cnotliwym zaprawdę! niejestże to skalanie wszelkiéj prawości, po-

deptanie miłości narodu, miłości ojczyzny, cnoty, miłości zasad postępowych?

Autor zamierzył rozwinąć pojęcie poświęcenia, niedał go jednak wcale, ciągle krąży w około wyobrażeń o poświęceniu, nazywa Don kiszota, i człowieka występującego przed szeregi bezpotrzebnie w czasie boju ludźmi poświęcenia. Mówi, że poświęcenie jest łaską wyświadczoną narodowi, której ten niepotrzebuje i t. d. Czyż autor niezastanowił się nad tém, że jeśli on deklamuje przeciw poświęceniu, dla tego, że to pojedyńcze indywidua wyobrażają sobie fałszywie, toć ktoś przeciw spełnianiu powinności z równym mógłby powstać prawem, twierdząc, że katowie Albigiejczyków lub Hussa, sądzili, że dopełniali swéj powinności, więc dalej-że wyrzekać na dopełnienie obowiązków! Czyniąc zarzuty poświęceniu, z tego, że go nie pojmują ludzie, nie postrzegł się autor, że poświęcenie to jest tylko prawdziwém, czyli to jest poświęceniem, które pojęciu swemu *(Begriff)* odpowiada, to zaś które wyobrażeniom subjektywnym winno początek, jako mżonka jest samowolą. Idzie więc o wywiedzenie pojęcia *(Begriff)* poświęcenie, powinności, cnoty, autor wbrew założeniu swego artykułu, niepokusił się nawet o najlżejsze skreślenie tego pojęcia. Wreszcie zupełnie jest czczą rozprawki naszego autora część, w której (Ner 6. str 44.) występuje przeciwko stawianiu ludziom, ideałów cnoty, a pragnie aby każdego o jego obowiązkach nauczano. Mała tu zachodzi sprzeczność autora samego z sobą, bo pokazanie komuś ideału, jest już właśnie nauczaniem go, jakiego winien dosięgnąć celu, na to więc autor narzeka czego sam pragnie. Myśl, że ludzie zastraszą cię, iż niedorównają bohaterom ludzkości i myśl, że skoro niekażdy może pisać jak Mickiewicz, toć i niekażdy może być bohaterem, ideałem jest zupełnie fałszywą. W poecie talent, w życiu dla narodu wola jest wszystkiém, kto zechce, całego siebie, rozlać w ogół, oddać siebie ogółowi, ten będzie jego bohaterem, kto niejest egoistą nieprzelęknie się, i nieopuści rąk, słysząc dzieje Szymona Winkelrida i t. d., lecz zapała ku tym ideałom czcią, i wiedząc, że im może wyrównać, i choćby w innych sferach, cały się dla narodu oddać może, zapragnie służyć ogółowi. Człowiek aby mógł być cnotliwym w życiu społecznym, musi być w rodzinnym i codziennym pożyciu cnotliwym, przeciwnie człowiek niezachwycający się ideałami, tylko w rodzinnym życiu może być cnotliwym, ale nigdy w publiczném. Walcząc przeciw nauczaniu ludzi wystawieniem im ideałów, walczy autor przeciw żywemu nauczaniu cnoty.

Dotykająca najważniejszéj dziedziny bo społecznéj, w sobie zupełnie jak widzieliśmy niekonsekwentna, zresztą zkompilowana, z pisarzy miernych i przestarzałych, rozprawka o któréj mówimy, niewypełniła wcale założenia swego, bo nie rozwinęła żadnego pojęcia, nie stanęła na równi z pojęciami czasowémi, owszém daleko po za niémi pozostała. Szczególniéj chromém jest, powstanie na miłość ogółu i uwielbienie egoizmu jako źródła cnót. To, że autor prawi, iż poświęcenie jest łaską, dowodzi, że wypełnienie powinności uważa także za łaskę, co jest bardzo nielogiczne: autor powiedział był (Ner 6. str 44.), „że „poświęcenie jest to wyrażenie względne oznaczające „wyższy stopień wypełnienia obowiązków, w porównaniu z ciaśniejszém o obowiązkach pojęciu."

To znów, że autor napomyka, iż z pobudek niemożna sądzić o ludziach, jest zupełnie podobne do powiedzenia, że ma zasługę, kto niechcący dobrze zrobi. Jeśli w wyrażeniu pobudka neobejmujemy przeświadczenia, to zawsze wydać sąd możemy o człowieku, który nie z przeświadczenia lecz z pobudek działa, że, czy jego pobudki są szlachetne czy nie, jest zawsze człowiekiem niewyrobionym, ulegającym wrażeniom, więc chwiejnym. Ten tylko prawdziwie dzielny, kto z przeświadczeniem wszystko czyni, i w przeświadczeniu źródło ma postępowania.

Lecz cóż mamy o owém chromém najbardziéj miejscu rozprawki naszego autora powiedzieć? Mamyż dowodzić czytelnikom i autorowi, że miłość ogółu jest cnotą, i że to jedyną cnotą? że egoizm, będąc brudnym żądaniem szczęścia swojego, choćby miłość ogółu mógł wyrodzić, używałby jéj jako narzędzia swojego samolubstwa, więcby cnoty niezrodził. Mamyż tego dowodzić? Nie! nieżyjemy w wieku tym, w którym podobne zdania, choć w innéj empirycznéj formie rozsiewał La Rochefoucauld, mieniąc egoizm sprężyną wszystkiego w świecie. Nie! odzywamy się do narodu, który niesplamiony podłym egoizmem, nad wszystkie bohaterami jest wielkim, którzy umieli pojąć i spełnić powinność świętą, poświęcić siebie dla dobra ogółu.

S. Zawadzki.

O Stowarzyszeniach.

Artykuł I.

Myśl stowarzyszeń dobrowolnych do pewnego moralnego celu zawięzujących się, jest już skutkiem wyższéj oświaty i wyższéj moralności narodu, choć podstawy téj myśli sięgają saméj natury człowieka, i są

te same, na których zawięzywały się państwa i kościoły. Przyczyny takiego opóźnienia stowarzyszeń dobrowolnych, leżą właśnie w tém, że są zostawione dobréj woli każdego w szczególności. W państwie i w kościele, każdy się rodzi członkiem państwa i kościoła, a przynajmniéj nim się staje mimo swéj woli i w zasadach ich wzrasta. Owe zatem stowarzyszenia całych rodów i ludów stały się już organizmami żywotnemi, a tém samém koniecznemi dla każdego. Myśl zaś towarzystwa dobrowolnego ma się dopiero stwarzać i nadać sobie życie, i pomiędzy mieszkańcami kraju lub okolicy, zbierać sobie dopiero duchowe i materyalne żywioły, jako atomy tego życia. Rzecz jasna, że te pojedyńcze żywioły nie dadzą się zrzucić i spoić siłą zewnętrzną, jak kupa kamieni, — ale że w nich samych obudzić się musi myśl, przekonanie, sympatya, która będąc ta sama w wielu, tych wszystkich duchową potęgą swoją pociągnie w całość, organizm jaki taki nada, i ciepłem i duchem swoim do życia, to jest do ruchu i czynu ożywiać będzie.

Tu zatém widzimy, że w śród żywota ogólnego, narodowego który sobie w państwie duch narodu nadał, powstają pomniejsze żywota społeczne iskrą ducha pojedyńczych osób zatlone, a do tego potrzeba już dojrzałości ducha w narodzie. Dzieje się tu, z żywotem państwa jak z żywotem człowieka. Dojrzałości i siły wieku potrzeba, by się z życia nowe życie zapłodziło.

Z tego stanowiska zapatrywać się należy na prowincyą naszą w któréj się duch stowarzyszenia obudził, i wszystkich rozsądnych uwagę zwracać poczyna. Jest to dowodem że prowincya ta, wszystkie inne prowincye dawnéj Polski, wyprzedać poczyna w oświecie, że pojmuje i widzi potrzeby narodowe, i że siła przekonania dość już stała się silną, ażeby w téj myśli wywołać ciepło życia, to jest chęć i wolą, aby tym uznanym potrzebom zaradzić, ażeby połączonemi środkami i siłami dążyć do dobra publicznego.

Kiedy zważymy, że do pojęcia stanu potrzeb narodowych, potrzeba wyzucia się z długowiecznych i zastarzałych przesądów; że do zamienienia pojęcia w czyn przez połączenie sił, trzeba wspólności myśli i uczuć, coby się wzajem rozgrzewały, krzepiły i w całość coraz większą wzrastały ku wydaniu owoców; że nakoniec poświęcając dobru publicznemu pracę, czas i fundusze trzeba już pojęcia wyższych obowiązków względem kraju i narodu — wypada ztąd na odwrót, cośmy z początku założyli, że wywołany duch stowarzyszeń w kraju ku celom dobroczynnym jest poznaką jego siły moralnéj i intellektualnéj, którąby tylko nadzwyczajnemi środkami przytłumić można.

Jeżeli więc stan rzeczy u nas dzisiejszy nie jest sztuczny ale naturalny, a to ostatnie poświadcza kilkoletnia już wytrwałość i coraz większa liczba tworzących się stowarzyszeń, nie ma przeto powodu obawiać się, aby wszystkie te zawiązki, rozbiły się wkrótce o niestałość naszą, jako o tylekroć stwierdzoną wadę narodową, ażeby runęły ze śmiercią pierwszych ich założycieli. Wszakże są to dopiero początki i słabe jeszcze latorośle ducha społecznego, co pośród nas kiełki puszcza. Byćby mogło, że lada burza, lada oziębienie uczuć zniszczyćby mogły nadzieję żniwa. Tu owdzie jeszcze nie przekonanie ale opinia napędza do składek i prac na dobro publiczne. Objawiają się jeszcze niechęci, osobistości, sporadyczne zamiast dośrodkowe działania. Z tego powodu nie od rzeczy będzie, gdy pisma publiczne zwracać będą więcéj uwagi na towarzystwa istniejące, i wyświecać ich tak dodatne jak ujemne strony.

Od trzech blisko lat zawiązane Towarzystwo naukowéj pomocy jest najliczniejsze i najrozleglejszy objęło zakres działania. Wyszło ono z myśli arcy zbawiennéj, że w massach ludu wedle naturalnych praw równości mieszczą się zdolności i talenta stosunkowo w daleko większéj liczbie, niżeli w małéj cząstce intelligencyi narodowéj, że te dary natury niszczeją przez niedostatek i niesposobność wykształcenia się, i nie obracają się na korzyść narodu; że zatém wydobywać je i pielęgnować i obracać na korzyść publiczną jest obowiązkiem zamożniejszych. Zostawiamy do innego czasu wyświecić, o ile Towarzystwo w swojéj organizacyi odpowiedziało i odpowiedzieć mogło temu celowi.

To pewna, że przyjmując w opiekę swoją dzieci od dziesięciu lat dopiéro, tym wiekiem sięga zbyt miałko do mass ludu, bo wymaga już elementarnego wykształcenia w tym wieku, a nie pyta, jakim sposobem dzieci ludu całkiem opuszczonego tego wykszałcenia nabierać mogą. Zgoła brakło temu Towarzystwu podstawy. Obudziła się więc potrzeba zakładania domów ochrony, które opiekują się dziećmi od czwartego do siódmego roku, i mają na celu moralnie i fizycznie opuszczone dzieci biednych wyrobników ochronić od zniszczenia na siłach ciała i duszy, przez ogrzane mieszkanie, zdrowy i regularny pokarm, rozwinąć w dziecku siły fizyczne, a przez dozór nad niém, zabawę i nauczanie stósowne do wieku zaszczepić pierwsze ziarna moralności, porządku i oświaty.

Widoczną było rzeczą, że dzieci po ukończonym szóstym lub siódmym roku oddane nazad rodzicom, odwykłym poniekąd od starania się nad niémi, wrócą we wszystkie dawne opłakane stosunki, jakie niedo-

statek a z nim życie zdrożne i niemoralne za sobą prowadzą, i bez korzyści byłyby łożone na nie starunki. Dzieci więc te oddane być powinny ze sali ochron do szkół elementarnych. Wszakże brak przyodziewku, książek, obok niedbalstwa rodziców, coby się woleli dziećmi posługiwać, niżeli je oddawać do szkoły, stawiają trudności nieprzeparte utrzymywania dzieci tych w szkołach elementarnych bez obcéj pomocy. Naturalną ztąd rzeczą, że się zawiązać powinno trzecie Towarzystwo pomocy elementarnéj, coby pod opieką swoją przeprowadziło dzieci z domu ochrony od 7 do 10 roku przez szkoły elementarne, i dopiéro ztąd zdolniejszych i utalentowanych polecało Towarzystwu naukowéj pomocy. Wywołanie takiego stowarzyszenia jest konieczne, ażeby rzeczywiście generacyą ludu pod opiekę ogarnąć i tym sposobem owe duchowe kapitały, co jak rudy kruszczowe w łonie ziemi, w łonie massy jego są ukryte, o ile na to starczą środki i sposoby, rzeczywiście wydobywać i na bogactwo ducha narodowego wyrabiać.

O stosunku tych trzech stowarzyszeń do siebie w następnym artykule.

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — W tych dniach wyszedł „Roku 1844." poszyt IVty i zawiera: 1) Poezya i frenologia, przez Ignacego Kisielnickiego; 2) Hoëne Wroński, czyli Messyanizm polsko-francuzki, przez Bron. Trentowskiego (dokończenie); 3) Panslawizm i dążność słowiańska; 4) Korrespondencya z Paryża.

Między nowościami na wystawę płodów sztuki w Paryżu zapowiedzianemi, znajduje się fortepian, na którym widzi grający, która struna się odstroiła i o ile nastroić ją trzeba, co z łatwością się dokonywa. — Oprócz tego zwierciadło, w którém od razu z przodu i z boku mogą się Damy przeglądać.

Lord Rosse pracuje nad olbrzymim teleskopem, mającym powiększać przedmioty o 4800 razy; przedmioty na księżycu, wielkości naszych domów, mają być za pomocą tego teleskopu widziane. Ludzi jednak księżycowych, choćby byli olbrzymami, nie będzie można rozróżnić.

MODY.

Paryż, dnia 1. Maja 1844.

Pogoda sprzyja w tym roku modom na przechadzkach w Longchamps i dla tego mogliśmy się przypatrzeć mnóstwu nowych ubiorów.

Między tkaninami, któreśmy tu widzieli, przeważały nad inne kameleony, to jest tkaniny mieniące swoje kolory; ten połysk różnobarwny mienił się na wszystkich tkaninach nie wyjmując nawet wełnianych i kaszemirowych tkanin. — Kapelusze powiększéj części z ryżowéj słomy, miały krój małych ściąganych kapeluszy, podszycie u nich z szkockiego taftu, który odpowiadał wstążkom i kwiatom zdobiącym kapelusz. Krepowe kapelusze strojne były powiewnym marabutem w kolorze krepy i koronkami sutemi.

Krój sukien nadzwyczaj różny; za wzór następujące podać możemy modele:

Suknia z taftu w trójkolorowym połysku odznaczała się gładkim stanikiem, rękawami aż do łokci obcisłemi, kończącemi się w greckie i u dołu otwarte rękawy. W otworze tym i z przodu u ręki widać było lekkie rękawy z tarlatanu lub muślinu.

U pięknéj skromnéj sukni widzieliśmy stanik we fałdy i obcisłe rękawy, do któréj przeznaczony był kanezu z krótkiemi rękawami. Powłoka u téj sukni obszerna i długa, ozdobiona była jedną szeroką falbaną, lecz mogła także być dwiema lub trzema falbanami oszyta w średniéj wielkości.

Suknia z lśniącego taftu miała stanik w paski, a za wyłogi bertę pelerynową, która z przodu schodziła się i ukazywała półkoszulce; rękawy były obcisłe, na powłoce znajdowały się trzy falbany, obrzeżone byryntami.

Główną nowością w téj chwili są rozcięte staniki, które zupełnie wyglądają jak kamizelki męzkie, na dwa guziki zapinane. W tych długich otworach na krzyż zesznurowanych, ukazuje się fałdowane półkoszulcze, w ten sposób jak u koszul męzkich, a pod wywinięty kołnierz przypina się chusteczka kaszemirowa. Do tych sukien noszą obcisłe rękawy.

Dla mężczyzn. Surduty noszą teraz wygodne, można powiedzieć za wygodne. Eleganci zapewne znudzili się obcisłemi i rzucili się w drugie przeciwieństwo. — Fraki powiększéj części noszą tak zwane francuzkie. Są to fraki bez wycięcia na biodrach, a klapy z przodu przechodzą bez przerwy w poły szerokie. — Kamizelka bez wyłogów szalikowych, lecz ze stojącym kołnierzem.

Objaśnienie ryciny.

1. Surdut z szerokim kołnierzem i szerokiemi klapami. Kamizelka w pasy ze stojącym kołnierzem.
2. Ubiór ślubny.
3. Strój głowy z blondyn i kwiatów. Suknia z mory, stanik i powłoka otwarte, spodnia suknia atłasowa, zesznurowana wstążką; krótkie rękawy; u ręki jednéj trzy u drugiéj jedna tylko naramiennica.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*